Ner 37. Kraków, 16go Września. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

O KOBIETACH.

(Rozprawa przez Kobietę).

(Dokończenie).

V.

O wdziękach kobiet.

Nic bardziej nieunikczemnia płytko myślących kobiet, jak wmawianie w nie przymiotów moralnych, gdy im nie braknie zewnętrznego wdzięku. Podobnie to bywa, jak z małemi dziećmi, którym mówią: bądź grzecznym lub grzeczną, bo tak ładnie, a inaczej byłoby nie ładnie. Kształcić się w moralności dla wdzięku, a nie dla sumienia, jest to stawać się *największą obłudnicą;* mieścić w głębi duszy przymioty szatana, a przed ludźmi błyszczeć anielską powierzchownością; okazywać się publicznie, miodowemi słówkami, niewinnem dzieckiem, a być w domu, wedle czynów swych, Meduzą — bo w domu nie ma już tyle potrzeby maskowania się i braknie dla niego cierpliwości. Kto lekko pojmuje wdzięki człowieka-kobiety, nie jest chrześcianinem, nie jest nawet moralnym człowiekiem.

Nie sama kobieta strojną bywa w urok, we wdzięki, miewa ich i mężczyzna nieraz dostatkiem, a czemuż wychowanie jego niema na celu wabności? czemu: bo wabność służy chwili, ale nie całemu życiu ziemskiemu, tem mniej pogrobowemu, o które, gdy chodzi ze względu na mężczyznę, toć i ze względu na kobietę powinno chodzić.

Kobieta, im mniej sobą chce zająć, tem mocniej chwyta za serce innych ludzi, i że się tak dzieje, rzecz prosta: bo wszystko, co wyrachowane, wzbudza podejrzenie, chybia zamiaru.

Jakiż błogi skutek osiągnęły nauki, prawiące o wdziękach? wyzwoliłyż kobietę od złotego okupu, gdy jej idzie o związek małżeński? Podobno większe dzisiaj, niż dawniej, odbywają się targi małżeńskie, cena kupna o dużo wyższa dzisiaj, niż dawniej. Bynajmniej nie dziwić się temu; obie strony zdemoralizowane, obie łudzą powierzchownością i obie na niej znają się, jak i na sobie wzajem, doskonale.

Mężczyzna, kawaler bez sił, szuka nie żony, ale posagu, którymby zabezpieczył swoją przedwczesną starość. Kobieta zaś, zważając ilu młodych mężczyzn ucieka od stanu małżeńskiego, bojąc się nazwiska starej panny, idzie za pierwszego lepszego, snując szczęśliwą przyszłość w intrygach miłosnych, które gładziej uchodzą pod płaszczem małżeństwa. Zatem często mąż nie jest celem jej szczęścia, ale środkiem usnutych zamiarów. Lecz wróćmy się do wdzięków. Wyraz *wdzięki* nie musiał być stworzony przez mędrca, lecz przez jakiegoś Adonisa. Piękność, ładność, przystojność, powabność, to ja pojmuję doskonale, ale wdzięków nieumiem sobie wytłómaczyć. Są to przysposobione wabnostki, tam gdzie brak piękności, ładności, przyjemności, które wymyśliła zalotność; lecz nie są ani moralnością, ani talentami, ani czemś mającem swą rzetelną wartość. Zatem są chwilową ułudą czyli obłudą, w teatrze u aktorki, w salonie u pretensyonalnej kobiety itp. W malarstwie, rzeźbie, w tych artystycznych naśladowaniach natury, nie zdarzyło mi się słyszeć, aby ten obraz lub ten posąg miał wdzięki. Gdy piękność w mistrzowskich dziełach podziwianą bywa, Wenus, chyba jako bogini zmysłowej miłości, może być oddana z wdziękami ziemskiemi, bo jej piękność, niebiańska, wyższa — jako istocie czysto ziemskiej—wcale nieprzystoi. Zatem wdzięk, jest gatunkiem zalotnej wabności, niepowinien przeto pod swoje godło garnąć uduchowionych przymiotów, jakiemi są: dobroć, z czystego źródła ogółu płynąca; skromność, pochodząca z niewinnych uczuć; słodycz z łagodności charakteru itp. Wdzięków też niepowinna się uczyć żadna rozumna i uczciwa kobieta, one same odznaczą jej powierzchnią urokiem, gdy z głębi serca oddziaływać na nią będą mądrość, miłość, cnota—przymioty boskie. One ustroją jej obraz zewnętrzny mimowolnie, bez wiedzy, o nich więc ma ustawicznie przemyślać, w one się sposobić jako w najdroższe skarby, a nie w róż i bielidło wdzięków.

Przystojność w układzie i obejściu, wypływająca z szlachetnych uczuć duszy, jest najdoskonalszym wdziękiem. Lecz tego wyrazu tak nielubię powtarzać, bo jest tak zmysłowo cechujący, że za najpiękniejszą, za najcnotliwszą mam tę kobietę, o której inni mówią, iż jest bez żadnych wdzięków. Ja rozumiem wtenczas, iż chcą powiedzieć: ta kobieta jest ze wszech miar rozumną, dobrą, piękną, niewiedząc nawet o tem, i dążąc do coraz większej doskonałości.

Z powodu to kłamanych w kobiecie przymiotów, zrodziło się o nich twierdzenie, że są próżne, upośledzone na rozumie, i wszystko, jak dzieci, naśladujące. One na nierozum, próżność i naśladownictwo nie są bynajmniej przeznaczone, bo by w nich tego nieganiono, coby im było wrodzone. Tylko że wiekami zaniedbane zostały w wychowaniu, którem niezajmowano się tak energicznie jak męzkiem, z powodu, iż je odsunięto od urzędów publicznych. Nie jest kobieta stworzoną do próżności, ponieważ jej celem jest nieśmiertelność. Do bezrozumu, bo na obraz boski stworzona. Do naśladownictwa, bo i ona posiada twórczość, byleby nad nią zastanowiła się, i rozwijała ją chociaż w mniejszym zakresie, niemogąc się lat tyle, co mężczyzna, zajmować nauką.

Kończę niniejszą rozprawę o was, kochane rodaczki, którę kreśliłam nie z nienawiści ku wam, ale z szczerej miłości. Przyjmijcież ją, jako zwierciadło wielu; które, gdy wam już niebędzie użyteczne, skruszcie w drobne kawałki... a przedstawię wam piękniejsze znowu, wiernie odbijające rysy wasze, czego uprzejmem sercem wszystkim i sobie życzę, dla sławy naszego wieku i narodu.

**

KONIEC.

KRAKOWIAK.

Córa mogił i Wawelu, dumna z swego rodu,
Bieży błoniem w piękny ranek od starego grodu,
Kwiat jej lica, kruczy warkocz ranne złoci słońce,
Wstęgi białej i czerwonej wietrzyk pieści końce.

Bieży – patrzy do około na rodzinne łany,
Łza jej błysła, wnet zawoła: kraju mój kochany!
Kraju orłów, ilu synów miałeś na swej ziemi,
Sianych po twych bujnych łanach rękami Bożemi!

Dziś, żałosny smutno patrzysz od doby do doby,
Boś zasłany mogiłami, bo tylko masz groby!
Twe zamczyska rozsypane w własnych gruzach toną,
Twoje orły śnią o bojach pod darnią zieloną.

Tu umilkła córa mogił, idąc na wyżyny,
Sukieneczką białą miga wśród gaju leszczyny;
Aż za chwilę u pomnika, na szczycie mogiły
Jej wstążeczki i sukienka znowu zaświeciły.

Tam, schylona nad granitem pobratymczej ziemi,
W posąg smutku się zmieniła z dłońmi zagiętemi,
Wargi szepcą ciche słowa, które wiatr unosi,
Za słowami łza z ócz pięknych ciemny granit rosi.

Tam schylona w posąg smutku, z oczami ku ziemi,
Błaga czule niebios Pana łezkami rzewnemi,
I kraj żegna w wszystkie strony z onej świętej góry,
W niebo pacierz się unosi cnej krakowskiej córy.

I spłynęła do jej serca radosna pociecha,
Patrzy jeszcze przez łez rosę, lecz się już uśmiecha,
Ręce na krzyż ma złożone, na Kraków zwrócona,
Co Bóg wyrzekł: chowa w duszy, grzeje w głębi łona.

ULISIA.

Daleko za Warszawą, w wiosce, niepomnę jakiej, syn biednej wyrobnicy Janek, smukły jako sosna, swobodny w polu i karczmie, pokochał sąsiednie dziewczę Ulisię, co gdyby lilia wybiegła nad swoje rówienniczki. Razem żęli w przodzie, razem śmiali się w chacie, razem dzielnego wykręcali obertasa; i płynął im czas, niby czysty strumień wody... Dzień za dniem przechodził rozkosznie, jakby jedna błoga chwila.

Tak przeminęło lato, i jesień odsłoniła rzyska, i wyżynki zapowiedziano we dworze. Państwo poczciwe nie szczędziło zachodu na ugoszczenie miłych swych gości, bo też nietylko swoi, ale i z sąsiednich wsi duża ludzi zebrała się gromada, ośmielonych do przyjścia i poczesnej zabawy głośnem dobrych państwa imieniem.

Z obcymi przyszedł i Karol, syn zamożnego z przyległej wsi wójta; czysty diabeł — jakich już między uczciwym a miłującym Boga i ziemię swoją ludem, mało się znachodzi; pieczy-bieda o jakich trudno. Spodobała mu się okrutnie Ulisia; bo też to było na co spojrzeć, i zgrabna, i ładna, i rzeska jako malina. Wywijał z nią, a Jankowi aż krew wrzała i szarpało się serce.

Po tym wyżynku nieraz syn wójtowy naganiał się do Ulisinej chaty, nieraz Jankowi zachmurzyło się czoło, i pięść mimowoli ścisnęła. Karol oceniał tylko piękność dziewczęcia, i łudził ją darami—Janek znał ją dobrze, i pokochał z ciałem jej duszę. Ale syn wójtowy ma skarby, bogaty — a ten wyrobnicy, poczciwe jeno serce. Ulisia wybrała serce, pojęła i oceniła całą Janka wyższość. Złoto, mówiła, to zimna trumna, co moje tchnienie zamrozi — serce, to sama rosa, co duszę moją ochłodzi.

O! jakże cudna jest jakaś tam filozofia, jak ją zwą gminna!

Ale Karol nie mogąc zjednać miłości namowami, postanowił dopiąć jej pokusą bogactwa, śląc dziewczynie dary, na jakie ona wzgardliwem odpowiedziała milczeniem. Janka zaś zemsta prześladowała tak srogo, iż wyrzekł nieraz:

— Poczekaj no, poczekaj! albo twoje, albo moje życie!

Zamysły jego przerwał okrzyk wojny, święty i tak uroczy, że wszystkie pojednał serca, i umorzył zemstę. Janek i Karol porwali za broń, Ulisia chorągiewkę zatknęła, a uścisnąwszy chłopca, przyrzekła mu miłość, i że za powrotem się pobiorą.

Minął miesiąc, mija drugi, a Ulisia pyta rannych:

— Niewidzieliście tam mojego Janka?

Aż usłyszała śpiewkę: „Srebrny krzyżyk na sukmance i ten o nim śpiew, że jak poprzysiągł kochance, tak walczył jak lew.“

— To mój! — wykrzykła Ulisia, i odtąd zauważano ją dumniejszą. Aleć później przyszli wszyscy, a o Janku ani wieści. I wiarusy poszli w różne strony...... a jej Janek, jej kochanek, jak nie wraca, tak nie wraca. I Warszawę zabrano.... a Janek nie wraca, aby poplakał z Ulisią swoją. Wrócił i Karol, ładniejszy, bo ze szramą, lecz jako lekkomyślny, niedługo za stratą bolał. Rzucił się znowu w rozpusty, zabawy, i przypomniał sobie znowu Ulisię, a tu już i rok przeminął. Jaś nie wraca, a może biedną Ulisię rzucił. Dziewczę, szkoda twoich lat, od innego jedzie swat.

I tak też było: Karolowi odpowiadały wszystkie dziewczęta, bo był jako diablik szalony. Ulisia też słuchać nie chciała o nim, ale drogiemi bogactwy jego ułakomiona matka dziewczęcia, kryjomo mu ją za żonę sądziła, a po niejakim czasie zapowiedziała dzień ślubu.

Ulisia płakała, nie spała — a z niespania i płakania cera znikła, oczy wpadły w bezdeń jakąś głęboką.

Już ślubne przygotowano gody, goście zbiegli się jak kruki, i pannę młodą, biedną, płaczącą Ulisię ustrojono w wianek ślubny.

Goście popędzili do kościoła, i biedna Ulisia za nimi, i wszystko było z wielką paradą, i wszystko strojne, jaskrawe, i konie, i jeźdźce, tylko jeden koń śnieżysty obok cmentarza, tylko jeden młodzian obok kośnicy, z okiem przeszywającem jak sztylet, z wywiędłą, ba! trupią twarzą.

Słońce już zaszło za nocne chmury, księżyc gdzieś został daleko, i gwiazdki w głębi mrugały.

Weszli do kościoła — i nóż błysnął w ręku młodziana, już święty zaczęto obrządek piekielnego przymusu. Ulisia śród łkania za filar spojrzała, krzykła i padła nieżywa. Porwał ją Janek na ręce, pędem strzały wyniósł z kościoła. W pośród dumającej drużyny, wsadził na koń i dmuchnął na cztery wiatry. Lecą i lecą, w pogoni nie widać nikogo za nimi. Ich lot jest lotem księżyca, co z nimi bieży w zawody.

Mijają wioski i grody, mogiły, lasy i łąki, a miłe liczko dziewczyny u ust zawisło młodego, a czucie z duszy do duszy prosto się tchnieniem przelewa, a oko mówi do oka, a serce bije przy sercu.

— Ha! popas miła, tu me pałace te tutaj borów mogiły, tutaj pod dębem; tu moi bracia, tu wraz z wrogami spoczęli.

Ale tu zimno ci moja Ulisio. — Tutaj zwił i mchy, i ziółka, a wszystko zimne i twarde, jako serce złych ludzi.

— O mój drogi! tu na mogile, tu choć w grobie, wierzaj, że lepiej niż w malowanym dworze i w szatach złoconych. Tu się ogrzeję biciem twego serca, a tambym zziębła od kamiennej duszy.

— Hej! dalej w drogę, dalej koniu mój! jeszcze daleko do chaty, gdzie zimne lodu skorupy piętrzą się nad mem łożyskiem, gdzie mi nie wschodzi polskie słonko. Tam tęskno ci będzie Ulisio moja, tam ci ojczyste niezaśpiewa ptaszę, tam nie zasłyszą o tobie twoi rodzicy.

— O mój drogi, z tobą wszędzie najlepiej, ty mi zastąpisz ojca, matkę, i szczebiotanie ptasząt, woń kwiatów, powiew drzew mojego okienka. Tam mnie pieszczotami głaskano, ty mnie współczuciem wzbogacisz.

— Dalej het, dalej z ojców dziedziny, na cudze pola, wyżyny, dalej mój koniu siwy; bo zanim słonko powstanie, masz dobiedz do swego żłóbka, i nas do chaty porzucić — a zimno lubej doskwiera, a z głodu luba umiera!

Dalej przez puszcze, przez bory, w .... kraj, gdzie żywe groby, gdzie czucie zimne jak lody. —

I jak zamieć .... pędem strzały ruszyli i wszystko nikło przed nimi, i krwawe miasta, i smutne sioła, i bagna pełne straszydeł, i kraje pełne szatanów! Wreście i zorza z łożyska wstała gdzieś tam w oddali, i tam het! pręgi złociła, i dwoje kochanków stroiła wdzięcznym, niewinnym rumieńcem. A bór, tak ciemny jak myśl człowieka, w brylantowe strojny sąple, porwał ich w swoje objęcia, i tam jak w piekle przepadli.

W borze nad ranem obława: szukają zbiegów, rekrutów, i Janek wpadł w zasadzkę. Raz jeszcze dziewczę uścisnął, i nóż wbił w bijące serce swoje, jeszcze okiem miłości u jej źrenicy zawisnął. A konik siwy znużony zarżał, pogrzebał kopytem i upadł przy zmarłym Janku. A dziewczyna, ta sierota w obcej stronie, co tak prawdziwie kochała, nie jękła, bo pierś jej skostniała rozpaczą; nie zapłakała, bo łzy jej już żal wypalił, ale błędnem nieruchomem okiem patrzyła na Janka......

Pod brzozą nad strumykiem, ze zwirowego piasku usłała łóżeczko Ulisia kochanemu — usłała je sobie — a kiedy tułacz zabłądził w te strony, znalazł jej usta przy ustach lubego — palce jej z jego splecione. Przykrył ich mchem i puchem zwirowym — pozazdrościł ich doli.

Niedaleko tych mogił ręka pobożna wzniosła krzyż. Na mogile ptasząt dwoje dzióbkami się całowało. Ach! to dwa duchy: Janka i Ulisi, wybiegają na chwile ojczystą ujrzeć zorzę, ojczystego wiatru odetchnąć powiewem.

Na mogile dwie osiki, proste, smukłe, gładkolice, kiedyś strojne w chorągiewki, dzisiaj drżą choć na wieść jaką; a tak społem, a tak razem, jakby jedną myślą tchnęły, jakby jedno serce drgało; — drżą, tak zwykle jak osiki!...

Tekla Poznanianka.

Jedna karta z mego dziennika.

(Dokończenie).

— A wiecie państwo — zabrał głos pan komornik — jak ten kamień powstał?... Mówił mi o tem *panie* raz jeden profesor. Była *panie* jedna epoka, w której podobne kamienie jak zęby *panie* się powykluwały...— i kontent z siebie i swej erudycyi pomacał się za swój nos uszkodzony, który się również „wykluwał“ w jakiś potwór, nieznany i niepraktykowany dotąd na polu fizognomiki...

— Mój Boże! — zawołała z pustym śmiechem p. Olimpia — cóż to za złośliwiec powybijał tej epoce zęby, że jej tak mało zostało!...

— No to może to są *erratische Blöcke!*... Ale zresztą, że tak mało z tych zębów zostało, to nie dziw, to nasza ziemia już stara *panie!*...

I zaczął się pan komornik serdecznie śmiać ze swego dowcipu, przyczem za pomocą rozolbrzymionego nosa tak wyglądał, że mi mimowoli przypomniał się wiersz z „fraszek“ naszego Kochanowskiego:

Stań ku słońcu i rozdziaw gębę panie Ślasa,
A już nie będziem szukać innego kompasa,
Bo ten nos, co to gęby już ledwie nie minie,
Na zębach nam ukaże, o której godzinie!...

— Nie zadowolonam z pańskiego tłumaczenia, panie Czyżykiewicz — odezwała się piękna Samborzanka — do podobnych miejsc wiążą się zwykle jakieś cudowne podania poetyczne i nie braknie takowych zapewne i naszemu kamieniowi spaskiemu... Nie lubię tej zimnej, bezdusznej erudycyi, która... swą szorstką, niezgrabną ręką zdzierając z wszystkiego promienną tkankę czaru, pozbawia nas przez to tyle słodkiej ułudy, tyle uroków prawdziwej poezyi... Tam się może czegoś lepszego dowiemy... — i zakiwała swym drobnym paluszkiem na obecnego w pobliżu pastuszka.

I w samej rzeczy wersya pastuszka podobała się nam o wiele lepiej. Opiewała ona następnie:

Przed wielu, bardzo wielu laty zawziął się czart na pobliski monaster w Ławrowie, który dotychczas trwa jeszcze. Pobożne modlitwy bazyliańskich mnichów jakoś okrutnie przeszkadzały jego nieczystym praktykom — toż postanowił wrogi mu klasztor zniszczyć ze szczętem. Urwał tedy zkądciś ogromne kamienisko, i pewnej ciemnej, strasznej nocy wśród okropnego jęku i huku wichrów niósł je przez powietrze, by je cisnąć z góry na znienawidzony monaster.

Lecz Bóg strzegł pobożnych mnichów i z jego to natchnienia modlili się oni przez całą ową złowrogą noc, wśród nieustającego odgłosu dzwonów. Gorące modły i dźwięki poświęcanych dzwonów sprawiły, że owe wichry, na których skrzydłach pędził czart z olbrzymim kamieniem, w przeciwną zwróciły się stronę i wielce szatańskiej napowietrznej żegludze przeszkodziły. Diabeł nieborak natężał się ogromnie, pocił jeszcze bardziej; lecz mimo to nadzwyczaj leniwo posuwał się w swym locie. Toż Ławrów ciągle był daleko—i ledwie z swem strasznem narzędziem zniszczenia docierał do Spasa — kur ranny zapiał. A wiadomo, że właśnie wówczas kończy się wszelka nocna, nieczysta siła... Diabeł wśród straszliwego ryku rzucił kamień o ziemię, i czmychnął coprędzej do domu.

Mieszkańcy teraźniejszej spaskiej osady obudziwszy się z rana, z zdziwieniem i przerażeniem niemałem ujrzeli olbrzymi ten kamień w swem najbliższem sąsiedztwie... Chodziło jeszcze o małą bardzo przestrzeń, a niezmierne masy kamienne, przeznaczone na zburzenie ławrowskiego monasteru, byłyby owej strasznej nocy pogrzebały ich sioło. Gorąco dziękowali Bogu za ratunek od tak okropnej zguby...

— *Boh nas spasyw!* .. (Bóg nas zbawił). *Bożoje to spasenje*!.. (zbawienie) — mówili między sobą.

I wioskę swą *Spas* nazwali.

— Czyż to nie poetyczniej!... — zawołała p. Olimpia i wygłosiła znany wiersz Mickiewicza:

O wieści gminna, ty arko przymierza!
Między dawnemi i młodszemi laty;
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!...

— Niewiesz co jeszcze o tym kamieniu? — dodała zwracając się do pastuszka.

— *Ta nycz, chyba Prokop mertweć* (trup)... — odparło chłopię.

— Jaki Prokop? Jaki mertweć?... Opowiadaj! opowiadaj!... — zawołało całe grono.

I chłopczyna opowiadał. Przed laty żył w Spasie kmieć znany i zamożny, który miał jedynaka syna. Prokop, tak się zwał ten ostatni, był jednak młodzieńcem rozpustnym i hulaszczym, i swemi sprawkami nieszczęśliwego ojca niebawem o śmierć ze zgryzoty przyprawił. Stary kmieć skonał, a syn hulając w karczmie nawet mu powiek nie zawarł. Mimo to biedny ojciec pobłogosławił nieobecnego syna i przekazał mu cały swój znaczny majątek. Świadkom testamentu doręczył małą puszkę, w której się mieściło 50 talarów i kazał takową oddać synowi z najświętszym nakazem, by tych pieniędzy na żadną nie ruszał potrzebę, lecz tylko w każdą rocznicę śmierci ojcowskiej po talarze dawał na służbę Bożą. Gdyby tego Prokop niedopełnił — niech będzie pewien okropnej zemsty nieba...

Prokop objął mienie ojcowskie, i zanim jeszcze grób zmarłego rodzica pokrył się murawą, roztrwonił je w najniegodniejszy sposób do szczętu... Niemiał za co pić i hulać — wziął się więc do owej puszki, gdzie się znajdował grosz, na modły za duszę starca przeznaczony... Jednego ponurego jesiennego wieczora ostatni z niej wydobył talar i udał się z nim do karczmy... Lecz wśród rzęsistych kieliszków i dzikiej wrzawy swych towarzyszy przypomniał sobie, że dziś właśnie *pierwsza* rocznica śmierci ojcowskiej... *Ostatnim* talarem upijał się w *pierwszą* rocznicę śmierci swego zmarłego ojca... Myśl ta zapuściła swe szpony w rozbudzonem jego sumieniu... Za ciasno, za duszno i gorąco było mu w karczmie, chciał przytłumić w sobie straszny głos wewnętrzny i... uchwyciwszy do rąk flaszkę wódki, zawołał na swych towarzyszy:

— Chodźmy pohulać w wolnem polu, ot naprzykład koło kamienia!

Szalona zgraja pijanym okrzykiem powitała ten projekt, i niebawem stanęli nocni zawadyacy u kamienia, mieszając puste śmiechy i hałasy z dzikim świstem jesiennego wiatru. Pozbawionemu zdrowych zmysłów Prokopowi szalona myśl wpadła do głowy.

— Wylezę na szczyt kamienia i ztamtąd będę przypijał wam zdrowie!... — zawołał i począł się drapać po kamiennych urwiskach.

I stanął na szczycie samym kamienia. Tu z flaszką gorzałki w ręku, z pijanym śpiewem na ustach, począł dzikie wyprawiać pląsy i skoki... Lecz zamroczony trunkiem coraz niepewniejsze, coraz chwiejniejsze stawiał kroki — a nareście pośliznąwszy się z przerażającym jękiem padł na ziemię... Strwożeni towarzysze opuścili coprędzej miejsce tej strasznej sceny — a nazajutrz znaleziono Prokopa z roztrzaskaną czaszką, z której się mózg i krew na wszystkie rozprysły strony...

Odtąd Prokop w nocy okrąża kamień lub pnie się po jego szczytach z zdruzgotaną czaszką...

Chłopczyna skończył. Panny Czyżykiewiczówne zawołały ze zgrozą:

— Jezu! gwałtu!... — i spoglądnęły z trwogą po kamieniu.

Słońce, mające się ku zachodowi, przypomniało nam, że czas już do powrotu. Zanim jednakowoż opuściliśmy kamień, powycinaliśmy nasze imiona na nim. Pan komornik pracował nad sztucznie w esy i floresy ozdobionem C, pp. Czyżykiewiczówne mozoliły się nad dwoma od wszelkich kaligraficznych ozdób najzupełniej emancypowanemi P — a ja szczególnym trafem umieściłem moją cyfrę tuż koło O, nakreślonego piękną rączką panny Olimpii...

Powróciwszy od kamienia udaliśmy się na drugie miejsce, którego nikt z odwiedzających Spas nie mija, tj. do tak zwanego lasku. Jest to dość wysoki pagórek, zarosły pięknemi, smukłemi sosnami, opasany dokoła jak ślimacza szkorupa wygodnemi chodnikami, które wiodą do małej altanki, na samym szczycie położonej. Miłyż to nadzwyczaj odpoczynek w tej altance. Słońce poczęło już zachodzić i złociło ostatniemi swemi promieniami wysokie jodły i sosny, które poruszone wietrzykiem, pełnym wieczornego, rzeźwego chłodu, wydawały z siebie woń jakąś krzepiącą, balsamiczną.... U dołu bielały się miłe i schludne domki, opasane smętnie, cicho i lekko żeglującemi falami sinego Dniestru, do których zastósować było można cudne słowa poety:

Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda,
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie...

A prócz przejmującej poezyi samej otaczającej nas przyrody, mieliśmy tuż koło siebie i poezyę literacką, pisaną. Słupy i listwy altanki zapisane były pojedyńczemi ustępami poetycznemi, któremi goście spascy bądź to z własnego natchnienia, bądź to z pamięci notowali doznane tu uczucia i wrażenia. Podczas gdy nasze towarzystwo posilało się wiejskim podwieczorkiem, my z panną Olimpią robiliśmy przegląd tej poetyckiej galeryi.

Tu ktoś pod nawałem boleśnych wspomnień, których i ustronna, piękna cisza wiejskiej przyrody przytłumić nie zdołała, nakreślił wiersz wyjęty z pism naszego Adama:

O myśli, w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co spi pośród złych losów i namiętnej burzy,
A... gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony...

A inna jakaś ręka uzupełniła myśl tę słowami psalmisty Jeremiego:

Pamięci! o tyś cicha jak potoku wody,
Gdy się w tobie odbije jasny kwiat pogody!
Pamięci! a w nieszczęściu to tyś sępią szponą,
Głęboko ostrza wpuszczasz i rozdzierasz łono!...

Tam znowu jakaś pierś zbolała, spalona żarem uczuć gorących, której lekarze zimni leczyć się kazali... żętycą, wynurzyła swą skargę:

O życie ludzkie! — w zamian za cierpienia,
Cóż ty nam dajesz? — nic, tylko marzenia,
Nic tylko krótkie sny.
Z świętej miłości i z poświęceń wielu,
Z wielkich nadziei i z wielkiego celu,
Nic — tylko krew i łzy... *).

Owdzie pocieszał się jakiś nieszczęśliwy kochanek słowami poczciwego Goethego:

Młodzieńcze, marnujesz niebaczny, żałośny
Pierzchliwe godziny promiennej twej wiosny,
Że płocha cię rzuci kochana wietrznica;
Poczekaj! nadpłyną szczęśliwsze znów chwile,
Poigra się z drugą tak słodko i mile,
Jak gdyby to pierwsza dopiero dziewica!...

A tu jakiś młody zapewne zapaleniec, ognisty wulkan własnych uczuć, woła z Juliuszem:

Milcz serce! albo się strzaskaj echowe
Narzędzie pieśni, bolu, wiecznie drżące,
I obłąkane, nie zaspokojone —
Uderzam ciebie w złości! — Milcz szalone!...

Zamarzył ktoś o swych błogich, studenckich czasach i pożyczył sobie słów od Syrokomli:

Gdzie wy jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszy i do murów klasy
Przybyło, przyrosło na głucho?...

Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało?
Bóg to wie, krew po sercu ślizga się powoli,
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre niebardzo cieszy, złe niebardzo boli!...

Jakiś Polak rodowity, jak z całego podpisanego imienia poznać można było, nieznalazł na oddanie swego wrażenia swojskiego, polskiego oddźwięku, i wypalił w siarczystem uniesieniu jakiś wiersz niemiecki. Skarcił go za to inny wierszem z Wallenroda:

Ale po śmierci, Niemcy wy to wiecie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju,
Jakim językiem poproszą o wsparcie?...
Czy w ich niemieckiej, barbarzyńskiej mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie?...

*) Kornel Ujejski - „Kwiaty bez woni".

Na tem skończyliśmy nasz przegląd. Do tego zbioru ustępów poetycznych chciała się przyłożyć i moja urocza towarzyszka, panna Olimpia, a wydobywszy ołówek napisała wiersz Krasińskiego:

Miłość bez granic — —

Lecz ja niedałem jej skończyć. Przechyliłem się po nad jej ramie i dopisałem:

— to życie bez końca!...

Tymczasem bryczki pozajeżdżały i opuściliśmy Spas, zadowoleni i pełni świeżych i miłych wrażeń... Ale jeszcze jedno! Próbka głębokiej historycznej wiedzy i bezprzykładnej ścisłości chronologicznej...

Na wyjezdnem wskazał ktoś z naszego grona na wysoką, regularną, słojkowatą górę:

— Tu był, według podania ludu, zamek myśliwski królowej Bony!

— A w samej rzeczy, że był — odpowiedziała tonem profesorskim panna Pawlina, najgłębsza erudytka z całego Starego-Miasta — odwiedzała *w nim Bonę nawet Marya Terezya!...*

Tak mię to zawstydziło, że powiedziała to Polka, iż notując sobie te słowa ukradkiem w moim dzienniku, jeszcze rumienię się po uszy...

A teraz dość na dzisiaj tej bazgraniny... Nawet nie mogę już dalej pisać, bo ciągle lśnią przedemną a nawet połyskują z nad papieru piękne i urocze... *vertatur...* (Na tem się właśnie kończy jedna karta z mego dziennika. W obawie czyli już ona nieznudzi szanownych czytelniczek „Niewiasty" — nie śmiem drugiej wydzierać...)

Smolnica 1862.

W. Ł.

OBRAZY Z DZIEJOW SZWAJCARSKICH

(Podług Dumasa).

(Ciąg dalszy).

— Puśćcie dziecko — krzyknął Gessler — chłopczyna pobiegł wesoło, przytulił się do ojca, i radośnie w niego patrzył.

— Oni nam już przebaczyli ojcze? już nam nic złego nie uczynią, nic, prawda? — i uśmiechało się dziecię rzewnie, jeszcze od płaczu łkając, i przecierało oczka po spływających łezkach.

— Pleciesz synku o przebaczeniu! czy wiesz czego srogi pan ten wymaga po mnie? O mój Boże, jakżeżto taka straszliwa myśl urodzić się może w mózgu człowieka? On chce; lecz mój Boże! jak tego chcieć może? Czy podobna tego żądać? On żąda, ażebym... o moje biedne dziecię! żąda, ażebym o sto pięćdziesiąt kroków przeszył jabłko na twej głowinie położone.

— I dla czegóż ociągasz się tatku ze strzałem?

— Dla czego... dla czego... a gdyby strzała zamiast w jabłku w tobie utkwiła, o dziecię moje!

— Ej co tam tatku, nie tobie się tego lękać, mierzysz doskonale i Bóg twą rękę powiedzie.

— Nuże Wilhelmie! — zawołał Gessler.

— O jeszcze chwileczkę wielmożny panie, pozwól jeszcze chwileczkę, przecież pięć minut jeszcze nieubiegło.

— Mija już właśnie, żwawo Wilhelmie! namyśl się i skończ.

Chłopczyna zachęcał ojca pieszczotami.

— A więc — szeptnął Wilhelm, i nagle oburącz chwytając za rozpłomienioną głowę — oh nie, nigdy, nigdy nieodważę się. — Tak szeptał i zatoczył się jak nieprzytomny.

— Odbierzcie mu dziecko! — krzyknął Gessler — precz z mazgajem.

— Tatko będzie strzelał — rzekło dziecię — i objąwszy nogi ojca, i przycisnąwszy do nich po kilkakrotnie drobne usteczka, wyrwało się z uścisków, pobiegło i śmiało stanęło pod drzewem.

Wilhelm osłupiał, ręce opuścił, głowę zwiesił — stał jak posąg.

— Podajcie mu łuk i strzały — zawołał Gessler.

— Nie jestem łucznikiem — rzekł Wilhelm, siląc się wrócić do przytomności i nabrać odwagi — znam się jedno na kuszy.

— Prawdę mówi — wołano w tłumie.

Gessler zwrócił się do żołnierzy, którzy przytrzymali byli Wilhelma, jakoby chciał ich o to wypytać.

— Tak, to prawda — odrzekły zbiry — on miał żelazną kuszę i stalowe pociski.

— A gdzież są?

— Zabrano mu je przy rozbrojeniu.

— Oddać więc natychmiast — rozkazał Gessler.

Odszukaną broń podano Wilhelmowi.

— A teraz przynieście jabłek! — zawołał Gessler, i z pełnego koszyka wybrał starosta jedno.

— Och nie to, przynajmniej już nie to — prosił Wilhelm — jabym je zaledwie zobaczyć mógł o sto pięćdziesiąt kroków; czyliż w sercu twem żadnego miłosierdzia niema?

Gessler rzucił jabłko i wyjął insze, o trzecią część większe.

— A więc Wilhelmie, ułatwiłem ci zadanie — rzekł starosta — jakże ci się ten cel podoba?

Wilhelm wziął jabłko do ręki, obejrzał i oddał westchnąwszy.

— Przyjmujesz wreszcie, no teraz wymierzcie metę.

— Zaraz, zaraz — rzekł Wilhelm — meta ma być sprawiedliwą wielmożny panie, kroki na półtrzeciej stopy, nie dłuższe, wszak prawda? panowie łucznicy! że to jest zwyczajny, przyjęty wymiar do strzałów i do zakładów?

— Przystaję i na tę prośbę twoją Wilhelmie — i wymierzono odległość stupięćdziesięciu kroków po półtrzeciej stopy.

Wilhelm szedł w ślad za wymierzającym przestrzeń i sam następnie metę zmierzył, a przekonawszy się, że była rzetelnie wytkniętą, wrócił na miejsce, gdzie zostawił kuszę i ostrza.

— Jednę strzałę, na więcej nie pozwalam — zawołał Gessler.

— Przynajmniej dozwólcie mi ją wybrać — rzekł Wilhelm — wielkiej wagi jest dobry wybór pocisku — azaliż nieprawda panowie łucznicy! że strzały zawodzą, gdy albo ostrze za ciężkie, albo drzewce sękate, lub pióropusz nie pełny?

— Prawdę mówi — rzekli łucznicy.

— A więc wybieraj — odrzekł Gessler — ale jednę tylko.

— Tak, tak, niech będzie wola Boża — szeptnął Wilhelm — i wsunął jedno ostrze w zanadrze, przebrał w kołczanie z szczególną oględnością wszystkie pociski, wyjmował jeden po drugim, próbował czy się równo zagłębiały w dzirowku kuszy, równoważąc je na palcu, przekonywał się, czy żelazo na którę nieprzeważało stronę, co wszystko spowodowaćby mogło chybę pocisku. Nareście zdecydował się na jeden pocisk, który zdawał się dogadzać potrzebnym warunkom, i trzymając go w ręku, jeszcze pomiędzy innemi szperał, pragnąc zyskać na czasie, by serce i dłoń więcej odwagi, więcej siły nabrały.

— Dosyć tej zwłoki! — wołał niecierpliwiący się Gessler.

— Wielmożny panie, Bogu jeszcze pomodlić się muszę.

— Jakto, jeszcze wykręcasz, jeszcze zwłóczysz? nic ci nie pomoże!

— Błagać Boga o miłosierdzie i stojącym na rusztowaniu pozwalają.

— Módl się więc; ale krótko.

Wilhelm ukląkł i skupił ducha w modlitwie. W tejże chwili krępują do drzewa dziecię, które oczu zawiązać sobie niedało.

— A cóż to? — Wilhelm przerywając sobie modlitwę zawołał — niezawiążecie mu oczu?

— Chłopię pragnie patrzyć na ciebie — odpowiedzieli łucznicy.

— A ja właśnie nie chcę, ażeby mnie widział, rozumiecie, ja niechcę tego, inaczej kuszy w rękę nie wezmę, ani też siebie żywego w ręce wam nieoddam: dziecię, ujrzawszy świszczącą w powietrzu strzałę, poruszy się, i ja mimowolnie zabić je mogę.

— Daj sobie oczy zawiązać Walterku, ojciec prosi cię o to!

— Zawiążcie! — rzekło dziecię.

— Dziękuję ci synu — mówił Wilhelm, spływający pot po twarzy ocierając, i rozglądając się trwożnie w przestrzeni — dzielnym jesteś chłopcem!

— Odważnie tatu, odważnie, w imie Boże! — zawołał Walter.

— Dobrze — odrzekł Wilhelm przyklękając i napinając kuszę — następnie zwracając mowę do Gesslera, wyrzekł:

— Wielmożny panie, póki czas, oszczędź... mnie zbrodni, a sobie wyrzutu. Powiedz, że to wszystko działo się, ażeby mnie doświadczyć, ażeby mnie ukarać... a ty, przypatrzywszy się cierpieniom nieszczęśliwego ojca, przebaczasz mi szlachetnie, jako przystoi szlachetnemu władcy; wszak prawda? wielmożny panie! ty mi przebaczasz? czołgając się na kolanach w około kopyt konia Gesslerowego, wołał Wilhelm: łaski, łaski, przez Boga żywego, przez najświętszą Pannę, przez wszystkich świętych! łaski nie odmawiaj mi panie!

— Dalej, spiesz się Wilhelmie, nienadużywaj mojej cierpliwości. Daj nam strzelcze, dowód twej zręczności! krzyknął Gessler.

— Boże mój, Boże! zlituj się nademną — szeptał Wilhelm bijąc się w piersi i wznosząc wzrok w niebo. I podnosząc lekko kuszę, poruszył palcami stalową cięciwę, założył błyszczącą strzałę, oparł strzelbę o ramie i... najwolniej celował. Człowiek ten, przed chwilą jeszcze jako liść osiki drżący, klęczał nieporuszony, niby z granitu wykuty. Najciekawsze ucho niepochwyciło by i jednego oddechu, bo ten wszystkim przytomnym zastygł, oczy wszystkich utkwiły w jednym punkcie... życie w patrzących skamieniało...

Pocisk padł. I okrzyk podziwu ze wszech wyrwał się naraz piersi.

— Patrzcie! jabłko przygwożdżone do drzewa! dziecię ocalało, Bóg mu obrońcą!

Wilhelm, usiłując stanąć równo na nogi, zachwiał się, wypuścił z rąk kuszę, i upadł bezprzytomny.

Wkrótce pieszczoty dzieciny ocuciły go, radość zabłysła na jego obliczu; namiętnie, gwałtownie całował, ściskał syna; gdy się z nim chwilkę ucieszył, obracając się ku staroście, spotkał się z jego od złości zażółkłym wzrokiem, i... oczy spuścił, jak przed bazyliszkiem.

— Rozkaz twój spełniłem wielmożny panie!

— Zaprawdę — odrzekł Gessler — dzielnym jesteś strzelcem, i dla tego masz moje przebaczenie za swoje zuchwalstwo.

— I ja, wielmożny panie! odpuszczam tobie.

— Jednakże jeszcześmy cię nie o wszystko porachowali. Pospieszyłeś ku ratunkowi mordercy, Konradowi Baumgardtenowi, jesteś jego spólnikiem i zasłużyłeś za to na karę.

Wilhelm potoczył dziwnie wzrokiem, jakby obłąkany.

— Do więzienia mi z tym człowiekiem, będzie na niego sąd: idzie o zabójstwo i zbrodnię stanu... to wcale nie żarty, prawo wymaga sprawiedliwości.

— Jest sprawiedliwszy nad prawo — wyrzekł spokojnie Tell i poszedł ze zbirami do więzienia.

Dziecię oddano matce.

Gessler.

Rozgłos wypadków dnia tego przeraził zgrozą mieszkańców okolic. Naród gwałt i zniewagę mocno w sercu uczuł, oburzenie szerzyło się jak wylew wezbranej rzeki.

Wilhelma kochali wszyscy. Łagodność jego usposobienia, cnoty jego domowe, poświęcenie bezwyjątkowe dla każdego nieszczęśliwego, przywiązanie do ziemi rodzinnej, zjednały mu cześć nietylko w zagrodach równych mu kmieci, ale i we dworach zamożnych obywateli. Pewność jego strzału podziwiali wszyscy, i mieli go za istotę nadzwyczajną, jak starożytni Herkulesa, Tezeusza, Kastora i Polluksa.

Około północy zausznicy i siepacze starosty donieśli mu, że naród wre, myśli o powstaniu, które i wybuchnie, jeżeli mu się wcześnie nie przeszkodzi. Gessler uznał za najlepszy środek do przeszkodzenia powstaniu wysłanie Wilhelma za granicę kantonu Uri, i zamknięcie go w twierdzy, należącej do książąt Austryi, zbudowanej u podnóża pasma gór Rydzi. W tym celu rozkazał przygotować i uzbroić łódź na godzinę przed świtaniem, i do niej wsadzić Wilhelma. Sam Gessler z sześciu zbrojnymi, jeniec i trzech przewoźników byli całą osadą statku.

Gdy starosta przybył do Fluelen, zkąd odpłynąć mieli, zastał polecenie swoje spełnionem: Wilhelm, mając skrępowane ręce i nogi, leżał w głębi łodzi, przy nim, jakoby dowód zarzutu leżała broń, z której się tak świetnie popisał. Na straży będący łucznicy siedzieli dokoła Wilhelma na ławie; dwóch majtków stało przy niewielkim maszcie, oczekując chwili rozpięcia żagli, a sternik szykował się do przyjęcia u brzegu starosty.

— Czy możem się spodziewać wiatru pomyślnego? — zapytał Gessler.

— W tej chwili, wielmożny panie, bardzo nam sprzyja.

— A niebo?

— Niebo zapowiada pogodę niezmienną na dzień cały.

— Nie traćmyż więc i jednej chwili podaremnie.

— Gotowiśmy słuchać rozkazów.

Gessler zasiadł w miejscu dla siebie urządzonem — sternik stanął przy rudlu, przewoźnicy rozwinęli żagle, i mały statek, ozdobny, lekki i wdzięczny, jako śnieżny łabędź, już pruł przezroczę spokojnego, cichego jeziora.

Wszakże i jasny błękit wody, i niebo jaśniejące niezliczonem mnóstwem gwiazd, jakoś nie otaczały łodzi urokiem pomyślności, łodzi płynącej szparko, jak wód błędna Najada.

Starosta utonął w myślach, żołdactwo nie gwarzyło, a przewoźnicy, pilnując znaków sternika, nie wesoło po sobie spoglądali.

(C. d. n.)

Literatura ludowa.

Przedruk z *Tygodnika Poznańskiego* *).

Pisząc, drukując, sprowadzając lub polecając jakie dla ludu książki i pisma, trzeba sobie dobrze uprzytomnić i ściśle oznaczyć tę warstwę ludzi, dla której się to przedsiębierze. Gdyż wyrazu lud w rozmaitem używamy znaczeniu. Oznaczamy nim to cały naród, to tak zwaną większą publiczność, to wreszcie lud prosty, żyjący z fizycznej pracy rąk własnych, jako to robotników, wieśniaków i rzemieślników, nieposiadających ani wyższej nauki nad wykształcenie w szkołach elementarnych wiejskich lub miejskich nabyte, ani majątku przechodzącego wartość kamieniczki lub kilku włók roli.

Mówiąc o literaturze ludowej, mam tę ostatnią warstwę naszego społeczeństwa na myśli, dla której nie każdy popularny wykład nauki jest przystępnym i przydatnym, niekażde dla ludu przeznaczone pismo zrozumiałem, lub dzieło stósownem. Pod nazwą *Przyjaciela Ludu* wychodziły u nas trzy czasopisma polskie: jedno w Lesznie, drugie we Łku, trzecie wychodzi dotąd w Chełmnie, a pomimo tego tylko to ostatnie jest dla prostego ludu przystępne i od niego z chciwością czytane. Pierwsze czytali z przyjemnością i zapisywali wszyscy, prócz prostego ludu, dla którego ono i zbyt drogie było i zbyt odległe przedmioty z historyi, literatury, jeografii i archeologii poruszało. Łecki Przyjaciel Ludu jeszcze niedosyć był treścią i ceną wieśniakom i rzemieślnikom przystępny, i po największej części tylko przez nauczycieli elementarnych, pisarków ekonomów i gościnnych zapisywany i czytywany. Podobnież i tak nazwane „Powieści ludowe“ p. E. Ziemięckiej, a po części i p. W. Wielogłowskiego, lubo nie bez talentu napisane i na żywiole ludowym osnute, nie kwalifikują się jednakże dla ludu, nie zawierając nic dla niego ani ciekawego, ani nauczającego. Charakterystyki pewnych warstw i typów ludowych są zajmującą nowością dla ludzi wykształceńszych, ale nie dla prostego ludu, który w powieści szuka przedewszystkiem nadzwyczajności, bardzo wydatnej tendencyi i konkluzyi moralnej. I wydawnictwo pana K. Forstera jest bardzo użyteczne, ale dla księży, nauczycieli, większych kupców, fabrykantów i właścicieli, wszakże nie dla klas roboczych i prostego ludu, dla których jest przeznaczone. Dzieła przez p. Forstera tłómaczone, są bezwątpienia bardzo stósowne i zbawienne dla tak zwanych ouvrierów francuskich, angielskich, włoskich, ale nie dla polskich rzemieślników. Tamci miewają wykształcenie częstokroć bardzo znaczne, mianowicie polityczne, a co najważniejsza, są wprawni i biegli w czytaniu nawet obszerniejszych i gruntownych rzeczy z pola ekonomii i polityki, czego naszym rzemieślnikom i robotnikom całkiem niedostaje. Dzieło Thiersa o własności już samą

---

*) Przedrukuwujemy ten artykuł 1ód dla wagi przedmiotu samego, 2re dla uwag, które nam wypadnie nad nim poczynić. R.

objętością nasz lud od czytania odstręczy, a cóż dopiero treść dzieła ściśle naukowa? Ze zapowiedzianej przez Kraszewskiego stutomowej biblioteki dla ludu jest pierwsza książeczka, wydana p. t. „świat i ziemia“ i astronomią wykładająca, także swemu celowi nieodpowiednia. Gdyż dla ludu, walczącego ciągle z nędzą i poczynającego dopiero czytać i kształcić się, jest astronomia zbyt odległym i trudnym do pojęcia przedmiotem. Nasz lud szuka w książce albo nabożeństwa, albo rozrywki, albo zaspokojenia ciekawości i nauki o rzeczach bezpośrednio i doraźnie go dotyczących. Powieści wydawane przez Koehlera w Brodnicy i Günthera czyli Ebbeckego w Lesznie byłyby stósowne i użyteczne, gdyby zawsze dobrym pisane były językiem, i gdyby były osnute na stósunkach i dziejach własnych, a nie obcych, najczęściej naszemu ludowi całkiem niezrozumiałych. Jeżeli gdzie, to tu trzeba prac oryginalnych, chociażby według obcych wzorów wykonanych, a nie dosłownych tłómaczeń.

Najbardziej odpowiadające celowi wydają nam się książeczki ludowe: 1) wydawane nakładem przez A. Lewińskiego, 2) staraniem Biblioteki Warszawskiej; 3) przez Janka z Bielca (Jana Gregorowicza, redaktora Kmiotka) w Warszawie, jako też 4) nakładem Towarzystwa agronomicznego we Lwowie. Otóż to ostatnie najlepiej, jak nam się zdaje, pojęło stan rzeczy, potrzeby ludu i najskuteczniejszy sposób kształcenia go, rozpoczynając wydawnictwo dzieł ludowych od historyi cudownego obrazu Najświętszej Panny Częstochowskiej i opisania Jasnogórskiego klasztoru. Lud, nie czytający dotąd tylko książki do nabożeństwa, z chęcią weźmie do ręki historyą Częstochowy, szukając w niej religijnego zbudowania, a znajdzie i historyczne wiadomości o stanowczych chwilach naszej przeszłości, jako też pobudki patryotyczne.

Należałoby nam wydawać, od najważniejszych począwszy, historyą i opis wszystkich miejsc świętych w kraju, jako też wszystkich świętych i błogosławionych polskich, ale nie w sposób kronikarski, jak np. jest napisane życie świętej Jadwigi. Autor tej książeczki gubi się w szczegółach i drobnostkach życia św. Jadwigi, których znaczenia nie pojmie się, nie mając jasnego wyobrażenia o czasie, stosunkach, wypadkach ówczesnych. Autor wyłożywszy familijne stosunki św. Jadwigi, mianowicie historyą Piastów od Bolesława Krzywoustego, był powinien pokrótce wyłożyć w innym epizodzie historyą Szląska, mianowicie jego pierwotne stosunki z Polską, dzisiejsze i te, jakie miały miejsce za czasów św. Jadwigi. W innym znów epizodzie opisać Tatarów, ich napad na Europę i zasługę Polaków i Sławian, zasłaniających przed nimi, i innemi hordami azyatyckiemi, resztę Europy itp. W takim razie czytelnik i nauczyłby się czegoś i zbudował. Wzorową prawdziwie książką dla ludu jest opis górali tatrzańskich. Jest to książeczka, którą wszystkie stany będą z równą przyjemnością i korzyścią czytały. Należałoby się postarać o tego rodzaju opisy Pińszczyzny, Żmudzi, Krakowskiego, Ukrainy, Księstwa Pozn., Litwy, Podola, Mazowsza, Halickiego, Prus Nadwiślańskich, Białorusi, Górnego Szlązka, Czarnomorza etc.; wydawać popularne opisy miast i miasteczek, najpierw sławniejszych i ważniejszych, a potem wszystkich; życiorysy głośniejszych w Polsce mężów i królów, z objaśniającemi epizodami zręcznie i wdzięcznie ułożone. Na kompendya historyczne, geograficzne etc. dla ludu, choćby najlepiej ułożone, jeszcze długo czas. Poemaciki też, jak np. o Kilińskim, o Bitwie Racławickiej, Wiesławie, Błogosławionej, będzie lud czytał z przyjemnością i korzyścią.

Innego zupełnie rodzaju, od dotychczas przytoczonych książeczek dla ludu, są Gawędy warsztatowe dla rzemieślników i robotników polskich, wychodzące u Okońskiego w Warszawie; Stelmanowicza Ogrodnictwo dla użytku wieśniaków polskich; Wiślickiego Wiejskie kasy oszczędności i pożyczek dla włościan i wyrobników; Gregorowicza Ogrodnictwo warzywne; Goltza O ochronkach wiejskich, jego rady gospodarcze dla użytku włościan; Pisza Nauki o nawozie; Gawareckiego Uprawa chmielu, tegoż uprawa roślin pastewnych, i najważniejsza pewnie z nich Biblioteka rzemieślnika polskiego, zawierająca dotąd: Przewodnik dla garbarzy, Przewodnik dla kowali, Przewodnik dla stolarzy, i mający wkrótce wyjść w Warszawie, Przewodnik dla ślusarzy. Zmierzają one ku podniesieniu rolnictwa, rzemiosł i w ogóle przemysłu i zamożności pomiędzy naszym ludem, podczas, kiedy tamte starają się rozpowszechniać religijność, moralność i oświatę. Są to rzeczy, jeżeli gdzie, to u ludu ściśle ze sobą powiązane. Z nędzy i ciemnoty wyradza się największa część złych nałogów a nawet zbrodni, jak pijaństwo, złodziejstwo itp. Pragnąc więc podnieść nasz lud moralnie, trzeba się koniecznie o jego oświatę i polepszenie bytu materyalnego starać. Droga przez społeczeństwo nasze obrana jest najwłaściwszą, należy tylko z wytrwałością na niej postępować. Trzeba o wszystkich gałęziach naszego gospodarstwa, rolnictwa, rzemiosł i handlu, fachowe a przystępne pisać i wydawać broszurki, i tanio je sprzedawać, najlepiej po 6 gr. Książki dla ludu, choćby najlepsze, a kosztujące kilka srebrników, albo kilka złotych, pozostaną bez wpływu, i są ludowi nieprzystępne. W książkach i pismach, dla ludu przeznaczonych, należy się także wystrzegać naśladownictwa żargonu i sposobu mówienia prostego ludu, jako też rozwlekłego gadulstwa o byle czem, gdyż przez to tracą na powadze, zarozumiałości i wpływie. Styl powinien być jak najprostszy, jak najzwięźlejszy; ale nie gminny. Lud Kaszubski uważa to za naigrawanie się z jego prostoty i za znieważenie świątyni, jeżeli kapłan do niego w kościele w kaszubskim przemówi dyalekcie. Ten fakt może posłużyć także za wskazówkę dla kapłanów słowa, jakiemi są i być powinni pisarze. Wydawcy czasopism ludowych, którym się należy główna zasługa wywołania literatury ludowej, powinni też pierwsi w tym względzie dać dobry przykład. Ich pisma dotąd jeszcze większy wywierają wpływ, niż wszystkie książki ludowe razem. One głównie budzą, rozpowszechniają i utrzymują pomiędzy ludem interes do czytania i kształcenia się.

(C. d. n.)

Siedmnasty wiek był u nas wiekiem konceptów, na które Europa zdobywała się i wtedy i daleko wcześniej, wszakże już w 709 r. zmarły biskup Aldhelm anglosaski tysiączne powymyślał koncepta i dziecięce gry zgłoskami i literami. Jego tak zwany czworokątny wiersz (quadratum carmen) jest arcydziełem klasztornych wierszowanych sztuczek. Z jego wierszów łatwo dowieść, że rymowanie (końcówki jednego wiersza, zgadzające się z końcówkami drugiego) weszło nie dopiero od Arabów do poetycznych utworów zachodnich narodów.

Garibaldi. O tym mężu czytamy w „Reformie“, piśmie tygodniowem, redagowanem przez Franciszka Schuselkę, żarliwego patryotę austryackiego, że jest *ozdobą naszego stulecia, wyjątkiem w zepsutym naszym czasie.*

J. K. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.